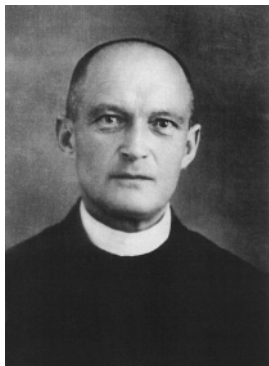


KS. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

Ksiądz, zesłaniec

W więzieniu i w łagrach 1940–1941, 1945–1954, 1958–1961

WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU



Ks. Władysław Bukowiński był kapłanem pracującym w Kazachstanie. Jego postać jest tym bardziej godna uwagi, iż **19 czerwca 2006 r. w kaplicy metropolitów krakowskich rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny, a 11 września 2016 odbędzie się jego beatyfikacja w Karagandzie.**

Ks. Władysław Bukowiński urodził się 22 grudnia 1904 r. w Berdyczowie. Kształcił się w kijowskim gimnazjum rosyjskim, a później w gimnazjum polskim w Płoskirowie. W roku 1920 rodzina Bukowińskich wróciła do Polski i osiedliła się pod Krakowem, a w 1921 r. Władysław zdał maturę i rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, studiował jednocześnie w Szkole Nauk Politycznych. Rozpoznając powołanie kapłańskie, podjął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Święcenia kapłańskie przyjął 28 czerwca 1931 r. z rąk metropolity krakowskiego księcia kard. Adama Stefana Sapiehy. Po święceniach został skierowany do nauczania katechezy w Gimnazjum św. Teresy w Rabce, a od roku 1936 posługiwał w Suchej Beskidzkiej, jako wikariusz i katecheta. W latach 1936–1939 był wykładowcą katechetyki i socjologii w Wyższym Seminarium Duchownym w Łucku.

Dnia 17 września 1939 r. ks. bp Adolf Piotr Szelązek mianował go proboszczem parafii katedralnej w Łucku. 22 sierpnia 1940 r. został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu łuckim. Dopiero 27 czerwca 1941 r. został wypuszczony na wolność, jednocześnie nakłaniano go do opuszczenia miasta.

Ks. Władysław postanowił jednak pozostać pośród swoich parafian i podjął obowiązki duszpasterskie. W nocy z 3 na 4 stycznia 1945 r. został ponownie aresztowany wraz z biskupem Szelązkim i innymi kapłanami. Oskarżono go o zdradę i skazano na 10 lat karnego obozu pracy. Został zesłany do obozu pracy Bakał w obwodzie czelabińskim. Później został przeniesiony do obozu Dżezkazgan w Kazachstanie, gdzie pracował w kopalni miedzi. Praca trwała tam 12 godzin na dobę. Przez cały czas swego uwięzienia pełnił on posługę kapłańską wobec swych współtowarzyszy niedoli.

10 sierpnia 1954 r. został zwolniony i w trybie administracyjnym zesłany na trzy lata do Karagandy, tam zobowiązany był do podjęcia pracy i comiesięcznego meldowania się. Po wyjściu na wolność pracował jako stróż nocny. Kiedy w czerwcu 1955 r. pojawiła się możliwość repatriacji do Polski, postanowił zostać w Kazachstanie wśród swoich wiernych. Decyzja ta wiązała się z przyjęciem obywatelstwa sowieckiego. Ponownie został aresztowany w grudniu 1958 r. za działalność religijną. Otrzymał wyrok 3 lat łagru. Wychoząc na wolność, 3 grudnia 1961 r., wrócił do Karagandy, gdzie kontynuował swoją pracę duszpasterską. Umarł 3 grudnia 1974 r. Przeżył 70 lat, z czego 20 w Karagandzie.

Omawiając pracę ewangelizacyjną ks. Władysława Bukowińskiego, warto szczególną uwagę zwrócić na jego „podróże misyjne”. Ich schemat był następujący:

Wyruszając na wyprawę misyjną, biorę paszport i zaświadczenie, że jestem księdzem katolickim, bo w paszporcie jestem zapisany jako 'raboczi'. Biorę opłatki i wino mszalne oraz wszystko, co jest niezbędne do odprawiania Mszy świętych i do udzielania sakramentów. Zawsze mam parę adresów mieszkańców tych miejscowości, dokąd jadę. Przyjeżdżam zawsze niespodziewanie. Wprawdzie nasi wierni wiedzą, że powinienem do nich przyjechać, lecz nie wiedzą, kiedy to nastąpi. Po przyjeździe zgłaszam się pod znany adres. Czasem tam właśnie pozostaję i rozpoczynam pracę duszpasterską. Lecz dość często po naradzie z miejscowymi katolikami – notablami – wybieram inny dom.

Natomiast katecheza, którą prowadził ks. W. Bukowiński i jemu współcześni, przede wszystkim związana była z przygotowaniem do przyjęcia sakramentów świętych. Poczynając od chrztu, przez pokutę, Pierwszą Komunię, sakrament bierzmowania do sakramentu małżeństwa. Tematem wiodącym w tym nauczaniu było przekazanie podstawowych prawd wiary, jak również przygotowanie do przyjęcia określonego sakramentu. Przygotowanie obejmowało osobno dzieci i osobno matki. Ilość czasu poświęconego na takie przygotowanie zależała od czasu, jaki kapłan spędzał w danej miejscowości. O wiele lepiej sytuacja wyglądała w miejscach, gdzie kapłan przebywał „na stałe”. Wtedy kontakt między duszpasterzem a wiernymi był częstszy. Okazją do przekazywania prawd wiary były również podróże w czasie, których przeprowadzano rozmowy na temat wiary i religii. Z kolei wierni pokonywali znaczne odległości, by dotrzeć tam, gdzie jest kapłan, i skorzystać z jego posługi, często zdając sobie sprawę, że może to być ostatnia możliwość w ich życiu*.

* Informacje biograficzne: W. Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, s. 43; W. Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu*, s. 38, 51–53, 55, 57–59; A. Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie*, s. 152; M. Gryczyński, *Serce oddał zesłańcom*, „Przewodnik Katolicki”, 2006, nr 30; .

Podstawa relacji: W. Bukowiński, *Do moich przyjaciół*.

*

Praca duszpasterska i wyprawy misyjne

Aresztowania

Aco do tendencji absolutystycznych, też nie należy przesadzać w obawie przed nimi. Czy wiecie, kiedy ja najlepiej poczułem swoją siłę wobec absolutystycznych zapędów pewnego kacyka? Było to jeszcze w 1940 r. podczas mojego pierwszego uwięzienia. Jeden z moich sędziów śledczych był niewątpliwie mało inteligentny, a przy tym chamowaty. Był to zresztą jedyny sędzia śledczy, któremu mógłbym wystawić tak mało pochlebną cenzurę. Wszyscy inni byli znacznie mądrzejsi i kulturalniejsi od niego. Otóż ów sędzia śledczy nawet nie umiał prowadzić śledztwa i raz po raz zapędzał je w ślepy zaułek. Choć ja mu powiedziałem wszystko, co można było odpowiedzieć na to lub inne pytanie, on żądał, bym powiedział jeszcze więcej, a rzeczywiście nie było nic więcej do powiedzenia czy do ukrycia przed nim. Raz po raz mówił „nadumajties” – „namyślcie się”, sam czytał gazety, a ja siedziałem w kącie pokoju na taborecie i zamiast „nadumywać się” cichutko na palcach odmawiałem różaniec. Tak było przez dobrych parę dni, aż wreszcie mój sędzia śledczy coś zauważył. Wysunął głowę spod gazety i zapytał się: „A co

wy tam robicie?” Ja: „Modlę się do Boga”. On (zrywa się z miejsca i wrzeszczy na całe gardło): „Tutaj zabrania się modlić do Boga!” Ja: „Niech się pan uspokoi. W przyszłości będę się tak modlić, żeby pan tego nie zauważył”.

Przemoc ma także swoje granice. Któż może mi zabronić się modlić? Ten najwyższy może się tylko sam ośmieszyć. Modlić się można naprawdę zawsze i wszędzie, byle tylko była dobra wola ku temu. Ciało można zamknąć i nawet całymi latami trzymać w pojedynczej celi więziennej, lecz nie uwięzi się ducha, który i stamtąd znajduje drogę wprost do Boga.

Prześladowanie wiary nie jest największym niebezpieczeństwem. Jest nim odseparowanie dzieci i młodzieży, by one nigdy nie miały możliwości poznać Boga. Wprawdzie łaska Boża niepojętymi dla nas ludzi drogami dociera i do takich jednostek, tym niemniej sam Syn Człowieczy Jezus Chrystus woła do nas: „Żniwo wielkie — robotników mało. Proście tedy Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swoje”. (...)

Bywają momenty w życiu przełomowe. Przeszłość kończy się bezpowrotnie, wkracza przyszłość całkiem nowa. Często uświadamiamy sobie tę przeszłość nie od razu, lecz znacznie później.

W moim życiu były dwa momenty przełomowe, od razu najzupełniej uświadomione. Jeden zdarzył się w styczniu 1945 r., a drugi o 10 lat później — w czerwcu 1955 r. Pierwszy zdarzył się niezależnie od mojej woli, drugi z całkowitym udziałem mojej woli — ale oba przełomowe i oba od razu w pełni przeze mnie uświadomione.

Dnia 22 stycznia 1945 r. wyjeżdżaliśmy z Łucka w trójkę: Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek, Ksiądz Kanonik Karol Gałęzowski i ja. Było to po naszym aresztowaniu, które nastąpiło w nocy z 3 na 4 stycznia tegoż roku. 18 dni trwało wstępne śledztwo i właśnie 22 stycznia wywożono nas na dalsze właściwe śledztwo z Łucka do Kijowa. Jasną jest rzeczą, że jechaliśmy cały czas pod konwojem. Ksiądz Biskup otrzymał w samochodzie najlepsze miejsce koło szofera, a myśmy z ks. Gałęzowskim siedzieli na tobołkach wprost na platformie ciężarowego samochodu. Był przepiękny słoneczny, z lekka mroźny dzień zimowy. Posadzono nas na platformie w ten sposób, że siedzieliśmy tyłem do szofera.

Wyjeżdżamy z Łucka. Przejechaliśmy most na Styrze. Jedziemy przez przedmieście zwane Krasnem, gdzie jeszcze przed kilkoma miesiącami było nasze łuckie Seminarium Duchowne. Siedząc w samochodzie oglądamy panoramę miasta. Stąd, z Krasnego, miał ją oglądać i zachwycać się nią goszczący w Łucku u Witolda cesarz Zygmunt Luksemburczyk w 1429 r. Stąd ma się wywodzić sama nazwa Krasne. Nad niebem góruje kopuła naszej katedry — w promieniach słońca lśni pięknie złotawym blaskiem. Stopniowo znikają z oczu zabudowania miasta, lecz wciąż jeszcze widoczna jest kopuła katedry. Wreszcie znika i ona...

Patrząc z samochodu więziennego na stopniowo znikający nam z oczu ŁUCK wraz z całą kopułą naszej katedry, jasno pojąłem, że Łuck to przeszłość bezpowrot-

nie miniona w moim życiu i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość? Coś całkiem nowego.

Teraz jedziemy do Kijowa, a potem zapewne jeszcze o wiele dalej na wschód. Tam na wschodzie jest moja przyszłość życiowa. Z woli Opatrzności Bożej. Obym godnie ją wypełnił.

W czerwcu 1955 r. moje warunki życiowe były już całkiem inne niż w styczniu 1945 r. Od 10 miesięcy na wolności w Karagandzie. Zostałem tam administracyjnie zesłany po ukończeniu 10-letniego więzienia, które trwało dokładnie 9 lat, 7 miesięcy i 6 dni, bo odliczono mi pięć miesięcy za dobrą robotę, choć prawdę mówiąc — prawie nigdy nie poczuwałem się do tego, bym był dobrym robotnikiem. Opatrzność Boża działa nieraz i przez ateistów, którzy zesłali mnie tam, gdzie ksiądz był potrzebny. Już w sierpniu 1954 r. wiedziałem, że czeka mnie tam niezmiernie wielka praca duszpasterska. Zesłaniec, podobnie jak i obozowiec, ma ścisły obowiązek pracować dla rządu. Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem co drugą noc jako stróż nocny na obiektach budowlanych. Pracy kapłańskiej, oczywiście po domach prywatnych, było na początku wiele, jak nigdy przedtem i potem w moim życiu. Ogromna większość spowiedzi była generalnych z całego życia.

Jako zesłaniec miałem obowiązek co miesiąc meldować się w komendanturze, bez pozwolenia której nie miałem prawa wyjeżdżać z Karagandy. Komendantem tym był starszy lejtnant Kazach. Przy comiesięcznych meldunkach wypytywał się on dokładnie każdego zesłańca o warunki jego życia i pracy. Była to obowiązkowa spowiedź miesięczna, jak dowcipnie mawiał wśród licznych jeszcze wtedy zesłańców-Polaków.

Przy owym meldunku po trzech czy czterech miesiącach, gdy — jak zwykle — „wyspowiadałem się” z tego, gdzie mieszkam i pracuję, pan komendant nagle rzekł: „Wszystko to dobrze, ale powiedzcie jeszcze, jak wam idzie wasza praca duszpasterska?” Już skądś się o niej dowiedział. „Dziękuję panu — odparłem — także i praca duszpasterska idzie mi nieźle”. Odtąd przy meldunku głównym przedmiotem „miesięcznej spowiedzi” była owa — tak stale przez komendanta nazywana — praca pasterska. Muszę jednak przyznać, że ów Kazach był raczej dobroduszny i nie stawiał zbyt niedyskretnych pytań.

Zesłańcy polscy oczekiwali wtedy na repatriację do Polski, jednak długie miesiące bezskutecznie. Aż wreszcie w czerwcu 1955 roku (którego to było czerwca — nie pamiętam) gruchnęła upragniona wieść: „Dzisiaj zapisują na repatriację”. Kto żyw szedł co prędzej do komendantury.

Ja nie miałem powodu się spieszyć i poszedłem dopiero wieczorem tego dnia. Komendant nawet mnie nie opowiadał, tylko zapisał meldunek i natychmiast odesłał do kapitana — prawdopodobnie Rosjanina — który przyjmował zapisy na repatriację.

Między mną a tym kapitanem odbyła się następująca rozmowa: kapitan po sprawdzeniu moich personaliów: „Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Republiki Ludowej”. Ja: „Witam z radością decyzję rządu radzieckiego

o repatriacji Polaków, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja sam obojętnie pragnę pozostać w Związku Sowieckim”. Kapitan: „A tak, wam przysługuje także prawo pozostania w Związku Sowieckim”.

W tym momencie zobaczyłem u kapitana na biurku 2 spisy: jeden bardzo długi zgłaszających się do repatriacji, a drugi całkiem krótki, jak to dokładnie spostrzegłem. Moje nazwisko było trzecim w tym spisie... Wtedy to definitywnie stałem się obywatelem Związku Sowieckiego.

Tak prosto i zwyczajnie dokonał się ów drugi moment przełomowy w moim życiu. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem swym życiem doskonale zdając sobie sprawę z podjętej decyzji.

Jedną z konsekwencji tej decyzji poniosłem trzy lata później, kiedy to 3 czerwca 1958 roku zostałem aresztowany po raz trzeci w moim życiu, a 25 lutego 1959 roku sądzony po raz pierwszy w życiu, gdyż przy pierwszych dwóch aresztowaniach wyroki były administracyjne, a nie sądowe.

Do owego jedyne go w moim życiu sądu wrócimy jeszcze w trzeciej części tego pisma. Teraz omówimy tylko jeden epizod sądu, który wydaje mi się bardzo charakterystyczny.

Sądziło mnie kolegium obwodowego sądu w Karagandzie. Główny sędzia zrobił na mnie wrażenie bardzo pozytywne. Najprawdopodobniej był to prawnik, człowiek rzeczowy i taktowny. Obok niego dwoje asesorów. Asesorka wyglądająca na nauczycielkę wyraźnie mi sprzyjała. Natomiast asesor pozostawił wrażenie człowieka mało inteligentnego i bardzo nie lubiącego „popów”. O ile główny sędzia i asesorka rozmawiali ze mną grzecznie i dość swobodnie, o tyle asesor milczał napuszony odzywając się tylko jeden raz. A było to tak:

Główny sędzia zapytał się, dlaczego nie skorzystałem z repatriacji i pozostałem w Związku Sowieckim? Odpowiedziałem, że uczyniłem to ze względów ideowych, dla pracy duszpasterskiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a nie mających swoich kapłanów, wierzących katolików Związku Sowieckiego. Tu moja odpowiedź najwidoczniej wyprowadziła z równowagi pana asesora. Otworzył on swoje usta i rzekł:

„Co wy nam gadacie o jakichś względach ideowych? Jasną jest rzeczą, że wy zostaliście w Związku Sowieckim tylko ze względów materialnych. Wyście sobie obliczyli, że za wasze ‘treby’ (chrzty, śluby, pogrzeby, czyli *iura stolae*) uzyskanie większy dochód w Związku Sowieckim, niż byście mogli uzyskać w Polskiej Republice Ludowej i dlatego pozostaliście w Związku Sowieckim. A nam ‘ne puszkajcie pył w głąza’ (nie sypcie piasku w oczy)”.

Na tę filipikę odparłem *stante pede*: „Gdybym kierował się względami materialnymi, to byłbym – proszę mi darować ostre słowo — idiotą pozostając w Związku Sowieckim. W Polsce otrzymałbym kościół parafialny ze stałym dochodem, mógłbym w nim legalnie i spokojnie pracować, a w Związku Sowieckim muszę siedzieć na ławie oskarżonych”.

Pan asesor zamilkł i więcej już do końca sądu nie otworzył swoich ust.

Są ludzie, którzy nie chcą uznać, że nawet pogardzany „pop” może się kierować w życiu względami ideowymi. Daleki jestem od wyniosłego poniżania względów materialnych, zwłaszcza w życiu ludzi rodzinnych. Ale mówiąc stylem biblijnym – biada człowiekowi zapominającemu o słowach Zbawiciela, iż: „nie samym tylko chlebem żyje człowiek, ale wszelkim dobrem, które pochodzi z ust Bożych”.(...)

Duszpasterstwo bez kościoła

Bardzo często księża stawiają mi pytanie, jak można uprawiać duszpasterstwo bez kościoła? Można! Wszak na 12 lat mojej pracy w Karagandzie tylko jeden rok miałem kościółek, a 11 lat pracuję bez żadnego kościoła lub domu modlitwy. (...)

Jakże więc wygląda moja praca duszpasterska bez kościółka w Karagandzie?

Jestem ustawicznie domokrażcą. Nie urządzam żadnych większych nabożeństw u siebie w domu, bo bardzo łatwo władze mogłyby mnie oskarżyć o nielegalny kościół. Jeżeli odprawiam Mszę św. u siebie, to przychodzi kilka pobożnych babek. „I wsio”. Całe moje duszpasterstwo dokonuje się w cudzych domach, lecz w żadnym wypadku nie w jednym domu, chyba dopiero po pół roku, a nigdy zaraz następnym razem.

Nie każdy dom nadaje się do pracy duszpasterskiej. Najlepiej nadaje się domek jednorodzinny, położony na uboczu. Nie jest pożądane sąsiedztwo kina, szkoły lub klubu, a jeszcze mniej milicji. Trzeba zwracać baczną uwagę na to, żeby byli spokojni sąsiedzi.

W takim domu można spokojnie się modlić, a nawet głośno śpiewać, byleby tylko były pozamykane drzwi i okna.

Mszę św. można w naszych warunkach odprawiać raniutko lub wieczorem. W dzień odprawiam tylko mszę pogrzebową przy zwłokach.

Zazwyczaj odbywa się to tak: przychodzę po południu lub przed wieczorem. Przede wszystkim urządzam ołtarz. Jest nim zwyczajny stół, byleby tylko mocno stał i nie chwiał się. Stół przykrywa się białym obrusem. Na stół kładzie się duże pudełko lub dwie grube książki, przykrywa się białą chustką i stawia krucyfiks. Świece stawia się w lichtarzach lub, jak ich nie ma — w szklance z solą. Powyżej zawiesza się jeden lub dwa obrazy i ołtarz gotów. Następnie spowiadam. Mszę św. odprawiam o godzinie 9 wieczorem. Po Mszy św. zwykle jeszcze spowiedź. Wreszcie krótki spoczynek nocny. Krótki, bo kładę się zwykle po północy, a już o 5-tej lub 6-tej rano jest poranna Msza św., a potem dalej spowiedź, czasami chrzty i namaszczenia olejami świętymi, czasami śluby.

Najczęściej pierwszą mszę odprawiam za żywych członków rodziny gospodarzy, a drugą za zmarłych. Cała rodzina spowiada się i zwykle dwa razy — wieczorem i rano — przyjmuje komunię św. Jakże to ma znaczenie dla życia rodzinnego, tym więcej, że nie ma tam kościółka, każdy łatwo zrozumie.

Ponieważ to powtarza się wciąż na nowo w różnych domach i rodzinach, więc sypiam częściej w cudzych łóżkach niż w swoim własnym. (...)

Choć więc praca duszpasterska w tamtych stronach, w naszej trzeciej zonie, jest taka sama jak na całym świecie, bo tak samo spowiadamy, chrzczymy, odprawiamy Mszę św., udzielamy Komunii św., błogosławimy związki małżeńskie i dysponujemy na śmierć chrześcijańską – to jednak ma ona pewne osobliwości, które z pewnością zainteresują księży, a myślę, że i innych czytelników.

Zacznijmy od pierwszego sakramentu — od Chrztu.

Księża nie biorą udziału ani w weselach, ani w pogrzebach na cmentarzu. Święci-my nieraz mogły, ale nie na pogrzebie. W Karagandzie ksiądz zazwyczaj odprawia uroczystą Mszę pogrzebową wraz z odśpiewaniem „Libera me Domine” w domu przy zwłokach. Jeżeli tylko czas pozwala na spowiedź, cała rodzina podczas Mszy św. pogrzebowej przyjmuje komunię św. Na cmentarz pogrzeb udaje się bez księdza, ale i Niemcy, i Polacy sprawiają pogrzeb chrześcijański z modlitwami i pieśniami żałobnymi. Czasami nawet bywa orkiestra na pogrzebie, która jednak wśród naszych pobożnych babć nie jest popularna, bo zwykle z orkiestrą odbywają się pogrzeby laickie. Na mogile stawiają zawsze krzyż, choć nieraz bywa agitacja, by postawić słupek z gwiazdą, a w zamian za to pogrzeb będzie opłacony. Tylko jeden raz widziałem krzyż i gwiazdę na tej samej mogile. Niemcy dają na krzyżu zawsze napis w języku niemieckim, choć najczęściej nie bez przekreślonej pisowni. Polacy dają napis polski. Lecz coraz częściej zjawiają się na mogiłach polskich napisy rosyjskie, bo polskiego napisu nikt w rodzinie nie skomponuje. (...)

Wyprawy misyjne

Teraz nareszcie będę mógł szczegółowo opisać duszpasterską pracę podczas wypraw misyjnych.

Wyprawy te odegrały i wciąż odgrywają olbrzymią rolę w duszpasterstwie naszej trzeciej zony. (...) Moja praca duszpasterska podczas wypraw misyjnych tym się oznaczała, że ja stosunkowo dłużej przebywałem i pracowałem w poszczególnych miejscowościach niż to czyniła większość moich misjonarzujących kolegów. Dzięki temu miałem więcej zająć z miejscowymi władzami, ale za to mogłem pracować stosunkowo gruntowniej i głębiej — „langsam aber sicher”, jak mówią Niemcy.

Nie licząc krótszych podróży misyjnych do niedalekich miejscowości, bo były i takie, odbyłem osiem wielkich wypraw misyjnych. Z nich pięć jeszcze przed moim aresztowaniem, a trzy w ostatnich latach po uwolnieniu z więzienia.

Z tych ośmiu wypraw misyjnych połowa, bo cztery, były do Turkiestanu, republiki związkowej położonej na skrajnym południu ZSRR, na granicy z Afganistanem. Tam od 1947 r. mieszka dużo Niemców katolików, którzy przed wojną mieszkali w okolicy Odessy.

Jedna wyprawa była również w kierunku południowym, w okolice Ałma-Aty, gdzie objechałem miejscowości zamieszkałe przez Polaków przesiedlonych z Ukrainy w 1936 r.

Dwie wyprawy misyjne były na zachód, do miasta Aktiubińska z okolicą. I wreszcie jedna wyprawa była na wschód do Semipałatyńska i niektórych innych miejscowości w tamtych stronach.

Tylko na północ od Karagandy nie urządziłem żadnych większych wypraw misyjnych, bo tam działali Bronisław i Józef, a potem tam częściej pokazywali się inni księża.

Najkrótsza z tych wypraw misyjnych trwała miesiąc, najdłuższa cztery miesiące. Połowa tych wypraw misyjnych, bo cztery, zakończyły się pomyślnie, bez interwencji miejscowych władz. Pozostałe cztery wyprawy musiały ulec skróceniu i nie zostały dokończone wskutek interwencji władz.

W 1957 i 1958 roku odbyłem aż pięć wypraw misyjnych, natomiast dwie wyprawy w roku 1963, w tym jedną skrócono.

Ostatnia wyprawa misyjna do Tadżykistanu trwała od grudnia 1967 r. do marca 1968 r. i też została przerwana w tydzień przed planowanym przeze mnie jej zakończeniem.

Kiedy zostałem uwolniony z ostatniego uwięzienia, pozwolono mi wrócić do Karagandy, lecz o wiele trudniej jest mi teraz wyrwać się na dłuższą wyprawę misyjną, niż to było możliwe przed moim ostatnim uwięzieniem. Oprócz tego trzeba jeszcze uwzględnić i to, że przed uwięzieniem odbyłem tylko jedną podróż na Ukrainę, w 1959 r., a po uwięzieniu aż trzy: w latach 1962, 1964 i 1966.

Do tego trzeba jeszcze dodać dwie podróże do Polski: w 1965 i obecną, w 1969 r.

Podczas moich podróży na Ukrainę nie byłem całkiem nieczynny pod względem duszpasterskim. Także i na Ukrainie wypowiadałem niejedną babcie, ochrzciłem niejedno dziecko i dałem parę ślubów. Ale te ukraińskie peregrynacje nie były żadnymi wyprawami misyjnymi.



8 wielkich wypraw misyjnych ks. W. Bukowińskiego. Baza wyjściowa – Karaganda, 4 wyprawy do: Turkiestanu, pozostałe do: Alma-Aty, Aktiubińska, Semipałatyńska, Tadżykistanu

Wyruszając na wyprawę misyjną biorę paszport i zaświadczenie, że jestem księdzem katolickim, bo w paszporcie jestem zapisany jako „raboczij”. Biorę opłatki i wino mszalne oraz wszystko, co jest niezbędne do odprawienia Mszy św. i do udzielenia sakramentów. Zawsze mam parę adresów mieszkańców tych miejscowości, dokąd jadę.

Przyjeżdżam zazwyczaj niespodziewanie. Wprawdzie nasi wierni wiedzą, że powinienem do nich przyjechać, lecz nie wiedzą, kiedy to nastąpi. Nie mogę ich zawiadomić przez pocztę, a rzadko kiedy przez okazję. Po przyjeździe zgłaszam się pod znanym adresem. Czasem tam właśnie pozostaję i rozpoczynam pracę duszpasterską. Lecz dość często po naradzie z miejscowymi katolikami — notablami — wybieramy dla pracy inny dom. (...)

Podczas wyprawy misyjnej dom do pracy trzeba wybierać o wiele jeszcze staranniej niż w Karagandzie.

Przyjeżdżam raz, to było w Tadżykistanie w 1963 r., do pewnego Niemca, który mnie zaprosił. Gospodarze witają mnie bardzo serdecznie i mówią: „Pater, musimy uprzedzić, że naprzeciw po drugiej stronie ulicy mieszka niedobry człowiek (ein nicht guter Mensch), on donosi”. Pracowałem jednak u tych gospodarzy, odprawiłem Mszę św. bardzo wczesnym rankiem i natychmiast przenieśliem się do innego zaproponowanego mi mieszkania, gdzie mogłem spokojnie kilka dni pracować.

Pracę zaczynam od spowiedzi babć — to znaczy takich osób, które można spowiadać od razu, bez uprzedniego przygotowania do spowiedzi i komunii św. Zawsze na początku ogłaszam, by mi zgłaszano na naukę i do I spowiedzi i komunii św. dzieci i młodzież, a osobno małżonków. Dorosła młodzież chętniej chodzi na naukę z małżonkami niż z dziećmi. Nauka w warunkach wyprawy misyjnej trwa 2–3 dni. Potem spowiedź dzieci i ich rodzin oraz uroczystość I komunii św. Staram się nie łączyć uroczystości I komunii św. z uroczystością ślubną. Bywało i tak, że rano była uroczysta Msza św. z I komunią św., a po niej ślub co najmniej kilku par małżeńskich.

Na samym końcu mojego pobytu w danej miejscowości ogłaszam chrzest dzieci. Dlatego, że żadna inna praca tak nie zwraca uwagi otoczenia jak właśnie chrzest dzieci. Dlatego chrzczę dzieci i zaraz wyjeżdżam do innej miejscowości. A były wypadki, że władze szukały „popa”, lecz nie znalazły. Oprócz tego muszę jeszcze znaleźć czas na to, by wyspowiadać ludzi starych, chorych lub słabych i udzielić im wspólnie a uroczyste namaszczenia olejami świętymi i odpustu zupełnego na godzinę śmierci. Podczas wypraw misyjnych w 1957 i 1958 roku często bywały masowe chrzty i śluby, bo ja pierwszy ze wszystkich księży przybyłem do Tadżykistanu, do Aktiubińska, do Semipałatyńska i do polskich osiedli w pobliżu Ałma-Aty. Bywało i tak, że chrzcilem nieraz kilkadziesiąt dzieci i błogosławiłem w jednym dniu do 30 par małżeńskich, oczywiście po wysłuchaniu generalnej spowiedzi z całego życia.

Podczas ostatnich moich wypraw misyjnych już nie było takich „masówek” z tej prostej przyczyny, że dzieci już przeważnie były przedtem ochrzczone przez księdza, a pary małżeńskie przeważnie już po ślubie.

Św. Paweł Apostoł pisze w drugim liście do Koryntian, że podczas swoich podróży misyjnych był osiem razy bity i raz kamieniowany, a trzy razy rozbił się okrętem. U mnie nic z tego. Ale za to byłem 6 razy wypędzony przez miejscowe władze. Prawda, w trzech innych wypadkach władze okazały mi wyraźną życzliwość. (...)

Wypędzenia bywały różne: bywały wypędzenia bez rugi, a były i z rugą, i to poważną. Tak „uroczyście” wypędzono mnie w 1958 r. z Semipałatyńska, a w 1963 r. z Aktiubińska.

W Semipałatyńsku sprawa skomplikowała się o tyle, że towarzyszyły mi w wyprawie misyjnej dwie pobożne Niemki z Karagandy: panna Gertruda Detzel i panna Klara Roninie. Klara zmarła przed rokiem, a Gertuda dotąd pracuje. Gertruda już przedtem za swoją pobożność była aresztowana i przesiedziała w więzieniu 8 lat. Klara tego nie przeżywała. Otóż w pewnym osiedlu koło Semipałatyńska, zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe, zatrzymali nas wspólnie prezes sielsowietu i prezes kołchozu, następnie telefonicznie zawezwali wprost z Semipałatyńska „czekistów”, tzn. funkcjonariuszy bezpieczeństwa państwowego. Przybyło ich dwóch, posadzili nas wszystkich troje na samochód i powieźli do Semipałatyńska.

Tam dwa dni przeprowadzano coś w rodzaju śledztwa, jednak pozwolono nam nocować w mieście u naszych znajomych. Gertruda już jako „obstrzelony wróbel” trzymała się bardzo dzielnie, a biedna, jeszcze nie „obstrzelona” Klara była śmiertelnie przerażona. Obie wciąż powtarzały: „Alles fur Dich, Heiligstes Herz Jesu!” A ja nie mogłem odżalować, że wziąłem jej ze sobą na wyprawę misyjną i postanowiłem już więcej nikogo nie brać, czego też później zawsze przestrzegałem. Nie bałem się własnego uwięzienia, lecz bałem się uwięzienia Klary i Gertrudy. Na szczęście na trzeci dzień wzięto ode mnie pisemne zobowiązanie, że natychmiast wyjeżdżamy z Karagandy. Potem, uszczęśliwieni, opuściliśmy „gościnne progi” semipałatyńskiego urzędu bezpieczeństwa.

W Aktiubińsku w 1963 r. było podobnie, lecz niezupełnie tak samo. Pracowałem w pewnym osiedlu w pobliżu Aktiubińska. Przychodzi do mnie jeden z poślubionych u mnie „panów młodych” zaraz na drugi dzień po swoim ślubie i donosi mi, że jeden z miejscowych naczelników zapytał go: „A ty także był u popa?” On udał greka, że niby nic o tym nie wie. Ja zaraz poprosiłem moich gospodarzy o samochód i wyjechałem stamtąd do Aktiubińska, czyli — jak się u nas mówi — „pop udrał”.

Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że już będzie niebezpiecznie pracować dalej w Aktiubińsku, lecz żał mi było naszych wiernych, bo Aktiubińsk jest dość dużym miastem, gdzie nie tak łatwo znaleźć „popa”. Pracowałem jeszcze, i to bardzo intensywnie, przeszło dwa tygodnie w Aktiubińsku. Pewnego dnia rano odbywa się uroczysta komunie św. Zatrzymałem jeszcze dzieci po Mszy św. Przychodzi do mnie gospodyni domu i pokazuje mi przez okno: dwa, trzy domy dalej stoi samochód osobowy, a koło niego kręcą się jacyś dwaj faceci i cały czas patrzą w stronę naszego domu. Natychmiast kazałem, żeby wyszły dzieci, a było ich około dziesięciorga, a potem żeby się pomału rozchodzili także i dorośli. Zjadłem śniadanie. W domu zostało tylko kilka osób. „Pater, proszę wychodzić do innego domu oddalonego o kilka ulic, a my potem zaniesiemy wam rzeczy” — „Nie, oni mnie zaraz

zatrzymają na ulicy, a w razie uwięzienia trzeba mieć ze sobą choć trochę bielizny i innych niezbędnych rzeczy. Będziemy na nich czekać”.

Podzieliłem rzeczy na dwie części. W jednej walizce były rzeczy przydatne podczas uwięzienia, a w drugiej rzeczy kościelne i inne niepotrzebne w warunkach więziennych. Byłem bardzo zmęczony i położyłem się spać. Kiedy się przebudziłem, spojrzałem przez okno: stoi samochód i stoją tamci dwaj faceci. Wypowiadałem jeszcze jednego młodzieńca. I tak minął dzień. Dopiero kiedy zrobiło się ciemno, a był listopad, ci dwaj panowie przyszli po mnie i zabrali mnie ze sobą razem z moimi walizkami. Powieźli mnie na milicję, a stamtąd, po krótkiej indagacji, do urzędu bezpieczeństwa państwowego. I znowu, zupełnie tak samo jak w Semipałatyńsku, rozpoczęło się coś w rodzaju śledztwa, które trwało trzy dni. Nocowałem zresztą dość wygodnie, na kanapie w urzędzie bezpieczeństwa. Na trzeci dzień wieczorem musiałem podpisać zobowiązanie, że natychmiast wyjeżdżam do Karagandy, a nawet — czego nie było w Semipałatyńsku — że nigdy więcej nie przyjadę do Aktiubińska. Następnie przekazano mnie naczelnikowi milicji, który uprzejmie odwiózł mnie wraz z moimi walizkami, własnym samochodem, wprost na dworzec kolejowy i tam zostawił mnie samego, a żegnając się ze mną, rzekł: „My wam ufamy, że dotrzymacie waszego zobowiązania i zaraz wyjedziecie, a nie będziecie zachodzić do waszych znajomych w Aktiubińsku, ale na wszelki wypadek poleciliśmy posterunkowi milicji na dworcu, by miał was pod swoją obserwacją”.

W Semipałatyńsku była możliwość powiadomienia naszych wiernych przed przymusowym wyjazdem do Karagandy. W Aktiubińsku nie było takiej możliwości. Nasi wierni byli przekonani, że ja siedzę w więzieniu. Poczciwe kobiety nosiły dla mnie paczki żywnościowe, bo nie wierzyły, kiedy mówiono, że nie ma w więzieniu żadnego Bukowińskiego.

Warto jeszcze wspomnieć o moich perypetiach finansowych. W związku z wyprzedzeniem mnie przez władze miejscowe w dwóch wypadkach kazano mi zapłacić grzywnę pieniężną za moją nielegalną a dochodową pracę. Dwa razy natomiast nałożono na mnie podatek dochodowy i natychmiast wyegzekwowano, z pieniędzy znalezionych przy mnie. Najradykalniej postąpiono w Semipałatyńsku. Po prostu skonfiskowano mi wszystkie znalezione przy mnie pieniądze i tylko na moje usilne naleganie zwrócono mi niewielką kwotę pieniężną na opłacenie biletów kolejowych i dla Gertrudy oraz dla Klary.

Jak już wspomniałem, płacę podatek dochodowy. W ostatnim roku wyniósł on 1058 rubli, czyli 16 340 złotych. Czynię to od roku 1962. Przed moim ostatnim uwięzieniem nikt ode mnie nie wymagał płacenia podatków — więc nie płaciłem. W zamian za to skonfiskowano mi sporo pieniędzy w Semipałatyńsku. Jestem nawet zadowolony z tego, że płacę podatek, bo to wzmacnia moją pozycję wobec władz państwowych. Kiedy ostatni raz jeździłem do Tadżykistanu, to wziąłem ze sobą oprócz paszportu dokumenty finansowe, nakaz płatniczy i pokwitowania — co mi tam do pewnego stopnia pomogło.

Wciąż nie jestem rejestrowany, wciąż nie mam uznania *de iure*. Jest to jednak swego rodzaju uznanie *de facto*, co się wyraża też w pobieraniu ode mnie podatku

dochodowego. Urzędnicy finansowi objaśnili mnie, że zarejestrowany ksiądz pracujący w zarejestrowanym kościele płaci podatek tak jakby był fabryką. Natomiast ja płacę podatek tak, jakbym był indywidualnym rzemieślnikiem branży duchownej, co wynosi procentowo więcej.

Bardzo mi pomagają w płaceniu podatku nasze nieocenione, a nieraz przez księży niedoceniane babcie, z których każda przynosi mi od czasu do czasu po parę rubli „na podatek”. (...)

Aresztowanie 3. polskich księży

Historia uwięzienia wszystkich trzech polskich i katolickich duszpasterzy w Kazachstanie interesuje z pewnością przede wszystkim księży, ale także i świeckich, zwłaszcza diecezji łuckiej, której kapłanami jesteśmy wszyscy trzej po dziś dzień.

Aż do uwięzienia ja sam w Karagandzie nie miałem żadnych poważnych przykrości od władz miejscowych. Była jedna, bardzo cierpka rozmowa z pogroźkami i parę razy drobniejsze przykrości, zwłaszcza rewizja domowa podczas mojej nieobecności. Oczywiście największą przykrością w tym czasie było zamknięcie i opieczętowanie naszego kościółka, ale ja osobiście nie doznałem nawet żadnych przykrości. Nawet nie nakładano na mnie żadnych podatków.

Droga Józefa i Bronisława była w tym czasie o wiele bardziej ciemista. Pod względem podatkowym Bronisław wychodził stosunkowo bardziej obronną ręką, ale Józef musiał toczyć z urzędami podatkowymi isticie homeryckie boje, bo projektowane sumy podatkowe były fantastyczne.

U Bronisława zaszedł tragiczny wypadek. W Wielką Sobotę 1956 r. jakiś niezany sprawca strzelił przez okno do kościółka i zabił kobietę. Oczywiście sprawcy nie ujęto, bo widać było, że władzom miejscowym wcale na tym nie zależało. Tak Bronisław jak i Józef zostali opisani w gazetach. O Józefie oprócz tego była jeszcze osobna audycja radiowa. Czytałem artykuł o Bronisławie. Na początku jest rzewny opis, jak dobrze było w Zielonym Gaju, dopóki nie przyjechał Bronisław. A gdy on przyjechał, to cały Zielony Gaj pokrył się czarną mgłą religijnego obskurantyzmu. Istotnie Bronisław odprawiał dwie Msze św. każdego dnia: raniutko o wpół do piątej i wieczorem, a frekwencja do komunii św. zawsze była duża.

Józefowi zarzucano, że jest doświadczonym spekulantem i darmozjadem. Przyjechał do Taińczy, nzbierał pieniędzy, zorganizował dochodowy interes — handel krzyżkami, medalikami i obrazkami — a teraz spaceruje po Taińczy i wygląda na zadowolonego z siebie franta.

Ja także doczekałem się dwóch artykułów w gazetach o sobie, ale to już znacznie później, po uwolnieniu z ostatniego więzienia.

W 1963 r. napisano o mnie artykuł w Aktiubińsku, a w 1964 r. przedrukowano ten artykuł i uzupełniono w Karagandzie. Przekonałem się wtedy, jak słusznie mówił mi ksiądz prałat Zygmunt Chmielnicki: „Jeżeli ksiądz chce żyć w Związku Sowieckim, to musi być gotów przeczytać pewnego dnia o sobie coś takiego, o czym się nawet nie śniło”. Dowiedziałem się z tych artykułów, że jestem bardzo

chciwym na pieniądze i że każę biednej staruszce, która przychodzi do mnie, płacić za spowiedź 5 rubli, czyli około 80 złotych polskich.

Józef i ja zostaliśmy aresztowani przy pracy. (...)

Na zakończenie tych moich wspomnień z ostatniego uwięzienia opowiem o moim śledztwie i sądzie.

Śledztwo było prowadzone bardzo grzecznie i bez przekręcania moich zeznań w protokołach pisanych przez sędziego śledczego. Po zakończeniu śledztwa dano mi do przeczytania protokół zeznań świadków wezwanych przez władze śledcze. Zeznawali oni nie tylko w Karagandzie, lecz także i w niektórych miejscowościach, gdzie ja byłem podczas moich wypraw misyjnych. Byli wśród tych świadków Polacy, byli i Niemcy. Z przyjemnością mogłem stwierdzić, że nikt z nich nie obciążył mnie swoimi zeznaniami. Na pytanie, czy Bukowiński mówił coś przeciw władzy radzieckiej, wszyscy jednogłośnie odpowiadali, że Bukowiński nic takiego nie mówił. Przeciwnie, Bukowiński mówił, że trzeba wypełniać obowiązki obywatelskie i uczciwie pracować (czestno trudit'sja). Kiedy w sądzie wezwano na świadka dyrektora szkoły mieszczącej się na przedmieściu zamieszkałym przez Polaków, gdzie w swoim czasie funkcjonował nasz zamknięty kościółek, to ów dyrektor, choć partyjny lecz Polak, powiedział, że była pogadanka religijna wśród dzieci szkolnych, lecz nic mu nie wiadomo, żeby ją prowadził właśnie Bukowiński.

W akcie oskarżenia, a później w wyroku sądowym, zarzucono mi oprócz otwarcia nielegalnego kościółka, przechowywanie antyradzieckiej lektury i agitowanie dzieci i młodzieży. O dorosłych nie wzmiankowano, a w wyroku – co znamienne – napisano, że nie należy Bukowińskiemu uznawać za winę jego wypraw misyjnych. Po wyroku spalono na stosie kilka moich książek – w tym cenne dzieło naukowe Sawickiego, w którym uczony autor pisał o utopijności hasła rajy na ziemi, ilustrując to przykładem... Związku Sowieckiego. Zabrano mi także inne książki przechowywane przez trzy lata w urzędzie bezpieczeństwa publicznego i zwrócono mi po moim uwolnieniu.

Proponowano mi adwokata, ale ja zrezygnowałem i oświadczyłem, że sam będę się bronił. Poprosiłem o rozmowę z adwokatem przed rozprawą dla wyjaśnienia kilku spraw proceduralnych. Przystano mi adwokatkę. Była to młoda i przystojna kobieta – na mój gust zanadto umalowana. Kiedy jej powiedziałem, że będę się sam bronił, nie tylko się nie obraziła, ale najwidoczniej była z tego zadowolona. Prokurator zażądał 5 lat pozbawienia wolności. W przeciwieństwie do Bronisława, który miał przeciw sobie rozjuszoną prokuratorkę, mój prokurator nie okazywał najmniejszych oznak wrogości. Przeczytał po prostu akt oskarżenia, dodał od siebie kilka słów i tak całkiem niegroźnie wyglądała cała ta mowa oskarżycielska.

Na zakończenie przewodu sądowego prezes sądu udzielił mi głosu dla wygłoszenia mojej mowy obrończej wobec tego, że nie skorzystałem z usług adwokata. Do tej mojej jedynej w życiu mowy obrończej przygotowałem się w swojej pojedynczej celi bardzo starannie.

Przytoczę główne punkty tej mowy, gdyż, jak mi się wydaje, jej treść ma znaczenie ogólne, a nie tylko osobiste.

Za wzorem Pawła Apostoła przemawiającego na ateńskim aeropagu zacząłem swoją mowę od „captatio benevolentiae”. Złożyłem publiczne podziękowanie za dobre i kulturalne traktowanie mnie w śledztwie i w sądzie. Wyjaśniłem, że nie mam zamiaru występować w obronie własnej. Osobiście nie poczuwam się do winy wobec państwa radzieckiego. Ponieważ jednak „nemo iudex in sua causa”, więc moją sprawę osobistą polecam z całym zaufaniem decyzji sądu radzieckiego. Skorzystam jednak z okazji, którą otrzymuję od władz radzieckich po raz pierwszy w życiu, aby wystąpić w obronie tych, dla których pracowałem w ciągu lat ostatnich.

„Wielka socjalistyczna rewolucja październikowa rzuciła na cały świat hasło wolności politycznej, społecznej i ekonomicznej. Ale nie należy zapominać o tym, że wolność obejmuje również stosunki narodowościowe i wyznaniowe. Ci ludzie, w których obronie występuję, są to Niemcy i Polacy. Przywieziono ich do tego kraju. Czy mogą oni tutaj czuć się całkiem dobrze? Gdyby tak przywieziono grupę prawosławnych Rosjan do kraju Buriatów i kazano im tam żyć, a tam nie byłoby żadnej szkoły radzieckiej — rosyjskiej, gdyby ci Rosjanie niebawem zauważyli, że ich dzieci coraz rzadziej mówią po rosyjsku, a nawet wstydzą się rosyjskiego, za to coraz więcej i chętniej mówią po buriacku, a przy tym są wychowywane na wierzących buddystów, a nie na prawosławnych, to pytam się, czy ci Rosjanie — a i wy, obywatele sędziowe, jesteście Rosjanami — mogliby być zadowoleni ze swego życia w kraju Buriatów?

Otóż śmiem twierdzić, że w takim położeniu znaleźli się Niemcy i Polacy w Karagandzie. Co do Polaków, to po dwudziestu latach w Kazachstanie doczekali się oni trzech swoich księży. A teraz, zaledwie po trzech latach pracy, ci wszyscy trzej księża są uwięzieni, wyrwani spośród wierzącego ludu, a kazachstańscy Polacy zostali znowu bez księdza.

Co więcej, gdyby rząd PRL rozkazał aresztować wszystkich księży prawosławnych na czele z metropolitą warszawskim i gdyby ludność prawosławna w Polsce została bez jednego batuszki, czy mogłaby ona być z tego zadowolona, mało tego, czy mogłaby z tego być zadowolona Moskwa?

Nie proszę o nic dla samego siebie, lecz proszę o uwzględnienie słów moich dla dobra wierzących katolików Kazachstanu. Pragnąłbym mieć nadzieję, że słowa moje nie okazały się głosem wołającego na puszczy, lecz dotarły do Ałma-Aty i Moskwy.

Był jeden wypadek, że mi zabroniono pójść do umierającej chorej, by ją przygotować na dobrą, chrześcijańską śmierć. Obyśmy wszyscy w ZSRR zrozumieli, że pierwszym prawem każdego człowieka, a już tym więcej człowieka wierzącego, jest prawo do Boga”.

Mowy mojej wysłuchano bardzo uważnie. Została ona zaprotokółowana.

Sąd udał się na naradę. Po kilku minutach sędziowie wrócili na salę sądową. Prezes sądu odczytał wyrok skazujący mnie na trzy lata pozbawienia wolności. Na pytanie prezesa sądu, czy będę apelował, powiedziałem, że nie.

Na korytarzu czekało na wyrok kilkadziesiąt osób spośród parafian i parafianek. Sam im powiedziałem, że zostałem skazany na trzy lata, a nie więcej. Mężczyźni uśmiechali się przyjaźnie, widać było, że podzielali moje zdanie.

Pożegnałem swoich kochanych parafian po chrześcijańsku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Wsiadłem do czekającego mnie samochodu, oczywiście wraz z dwoma konwojentami, i odjechałem wzruszony pożegnaniem z parafianami, lecz bynajmniej nie przygnębiony. (...)

Jeszcze jedno ostatnie wspomnienie

W czerwcu 1957 r. objeżdżałem polskie wioski w okolicy Ałma-Aty. Przeżyłem tam wiele głęboko wzruszających momentów.

W jednej wiosce dosłownie cała wieś czekała na mnie. Kiedy przyjechałem (samochodem osobowym), dziewczęta odświętnie ubrane otoczyły mnie wieńcem jak prymicjanta i wprowadziły do domu przeznaczonego na nabożeństwo, a lud cały śpiewał bardzo pięknie „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. W innej wiosce powitał mnie krótkim przemówieniem w obecności licznie zgromadzonego ludu miejscowy patriarcha, pan Stanisław Lewicki. Było to chyba najbardziej wzruszające przemówienie wygłoszone do mnie w całym życiu. Pan Lewicki mówił: „Wywieźli nas pod te góry, zostawili tutaj i wszyscy zapomnieli o nas. Nikt o nas nie pamiętał. Dopiero Ojciec Duchowny do nas przyjechał. My takie sieroty, my takie sieroty”. Płakał czcigodny patriarcha, płakał cały zebrany lud, płakał i ksiądz razem z nimi. Ale to były dobre łzy.

Otóż któregoś dnia czerwcowego przyjeżdżam z jednej wioski do drugiej. Droga była daleka, ok. 30 km. Jechałem kiepską furką zaprzęzoną w parę niepozornych koników. Ubrany byłem całkiem niereprezentacyjnie. Dość porządną walizkę miałem ukrytą pod słomą, żeby nie zwracała niczyjej uwagi. Cóż, kiedy droga była przeważnie polna, kiepska furka mocno trzęsła i raz po raz walizka wyskakiwała spod słomy, tak, iż trzeba było kilka razy w drodze przystanąć, aby ją znowu ukryć. Był przepiękny dzień czerwcowy w pełnym blasku popołudniowego słońca. Ani chmurki na niebie. Na prawo od nas obszerna, urodzajna równina, na lewo majestatyczne pasmo gór o szczytach pokrytych śniegiem. I wówczas poczułem się bardzo szczęśliwy i wdzięczny Opatrzności za to, że mnie tam przyprowadziła do tych tak biednych i opuszczonych, a przecież tak bardzo wierzących i miłujących Chrystusa. Tego szczęścia doznanego na owej trzęsącej się furce nie zamieniłbym na największe zaszczyty i przyjemności. Nieraz później, zwłaszcza w ciężkich chwilach, jakich mi nie brakowało, przypominałem sobie to olśniewające przeżycie.

Nie wiem, co przyniesie przyszłość, nawet najbliższa, mnie i moim przyjaciółom pracującym w duszpasterstwie w Związku Sowieckim. Nie wiemy, w jaki sposób Opatrzność Boża czuwać będzie nad naszym Kościołem w tym kraju. Wiem tylko jedno, iż słodkie jest jarzmo Chrystusowe, a brzemię Jego jest lekkie...

Zakończyłem pisać 18 maja 1970 roku.